

Krzysztof Gawlikowski

## **Polskie wizje Europy – iluzje i strachy przeszkadzające naszemu normalnemu funkcjonowaniu w Unii Europejskiej**

Polskie wyobrażenia Europy kształtowały się głównie w wieku XIX i do lat 90 XX w., kiedy to Polacy zmagali się ze różnymi historycznymi nieszczęściami, a w Europie (zachodniej) szukali wzorów i pomocy, nie znając jej zazwyczaj z bliska z praktycznej współpracy w różnych dziedzinach, z normalnego życia tam i zarabiania. Te ostatnie doświadczenia Polacy zaczęli zdobywać w skali dość masowej dopiero wraz z przystąpieniem Polski do Unii Europejskiej w 2004 r. W rezultacie polskie podejście do Europy wciąż cechuje swoista utopijność i ambiwalencja, i to w dwu wymiarach naraz. Z jednej strony w „postępowej” wizji traktuje się „Europę” jako krainę nowoczesności, wzorców doskonałych, sprawiedliwości, dostatku, demokracji, praw człowieka i wszelkich innych modnych aktualnie ideałów. Stamtąd też płyną różne mody i wzorce artystyczne. Oczekuje się przy tym, a nawet i domaga, by wyśniona Europa „dbając o pokrzywdzoną Polskę” – ratowała ją od wrogów oraz wszelkich bied, dawała pieniądze na realizację naszych potrzeb i nie stawiała żadnych trudnych wymagań. Od II wojny światowej ten mit „świata doskonałego” jeszcze w większym stopniu zaczęto rzutować na Stany Zjednoczone traktowane jako swoista „krajina bajeczna”.

Polacy nie przyjmują więc zazwyczaj do wiadomości, że częścią europejskiego dziedzictwa, obok wspaniałych dzieł greckich, liberalizmu, tolerancji, humanizmu, wzniosłej myśli religijnej, wspaniałej sztuki, były także inkwizycja, rozpasany nacjonalizm, faszyzm, komunizm, kolonialne ciemnienie innych narodów, rasizm, prześladowania religijne, pogromy i holocaust w samej Europie, czy niewolnictwo, mordowanie Indian i Aborygenów Australii przez emigrantów z naszego kontynentu, lincze Murzynów i pogarda dla nich, a generalnie nazbyt łatwe uciekanie do przemocy. Podobnie nasi rodacy nie chcą zwykle pamiętać, że w Europie leżało i do dziś pozostaje wiele biednych krajów wstrząsanych różnymi konfliktami, jak Włochy południowe z monstrualną korupcją i mafijnymi układami, kraje bałkańskie rozdzielane konfliktami narodowo-religijnymi, Portugalia czy Grecja dużo biedniejsze niż europejska średnia, a nawet Niemcy i Rosja – wzbudzające u wielu instynktowny strach. Europa i jej dziedzictwo są zatem w rzeczywistości nader zróżnicowane, a nawet kraje „zachodniego centrum”, takie jak Francja, Niderlandy, W. Brytania i Włochy w rzeczywistości daleko odbiegają od utopijnej, polskiej wizji Europy.

Wyidealizowana wizja Zachodu opanowała w Polsce umysły inteligencji, z siłą szczególną w latach 80. XX w., gdy elity intelektualne odrzucały wszystko, co sowieckie i szukały wsparcia oraz „ratunku duchowego” na Zachodzie. To

mityczne o nim myślenie utrwały jeszcze utopijne wizje doskonałego porządku i jedynie słusznych zasad lansowane przez tzw. „wolny świat” w ramach wojny ideologicznej z imperium sowieckim (szczególną w tym rolę odegrała Radiostacja Wolna Europa). W Polsce – na skutek rozmaitych zaszczości historycznych – ideologia komunistyczna w istocie przegrała na długo przed przegraną polityczną w 1989 r., zwłaszcza w kręgach inteligenckich. A dziś, mimo zakończenia zimnej wojny, te propagandowe wizje nadal dość szeroko się przyjmuje i funkcjonują one wciąż jako swoista para-religijna, naiwna „świecka wiara” w proste zasady zachodniego świata i jego „dobry porządek” (z brutalnymi zasadami wolnego rynku na czele), a wszelkie próby realistycznych korekt spotykają się z niedowierzaniem i oburzeniem wyznawców.

Z drugiej strony wyidealizowawszy Europę w roli „zbawcy świata” i ostoi zasad moralnych, a nie doczekawszy się zakładanej bezinteresownej pomocy dla siebie, przyjmują Polacy dwie postawy. Pierwszą jest popadanie w mesjanistyczne mrzonki „nauczania Europy, co powinna robić” dla „wypełniania przez nią misji moralnej w świecie”. Drugą jest potępienie jej w czambuł za to, że zaniedbuje swą misję moralną dla prymitywnych „doraźnych korzyści”. Zarzuty te powtarzają pokolenia romantyków od XIX w. do dziś. Nowym zjawiskiem lat ostatnich są próby podobnego pouczenia Stanów Zjednoczonych, co powinny robić z Rosją, albo Chinami, bez rozumienia elementariów polityki amerykańskiej i realiów światowych. Zapomina się przy tym zazwyczaj, że dbanie o interesy swoich państw i narodów, zwłaszcza o interesy strategiczne i gospodarcze, przede wszystkim swoich firm i koncernów, jest kamieniem węgielnym polityki europejskiej czy amerykańskiej w epoce kapitalizmu, a wymuszają to właśnie realne mechanizmy demokratyczne (z lobbieniem, finansowaniem partii i polityków przez biznes, a dziś jeszcze z tabloidyzacją informacji, itd.). Chyba najbardziej otwarcie wyraził to kiedyś Joseph Chamberlain (1836-1914), jeden z czołowych polityków brytyjskich przełomu XIX i XX w., w okresie największej glorii swego kraju. Odnosząc to do realiów swojego czasu stwierdził po prostu: „handel jest naszym najważniejszym ze wszystkich interesów”<sup>1</sup>.

Oczywiście, z tym tak zwanym „nurtem realistycznym”, zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, konkuruje „nurt idealistyczny”, którego obecność w polityce i mediach podsycza nadzieje na bezinteresowne interwencje mocarstw i zaprowadzanie przez nie porządku korzystnego dla jakichś pokrzywdzonych. Henry Kissinger ma jednak rację, iż to właśnie prorocy jakiegoś „słusznego” – ich zdaniem – porządku przysparzali zwykle ludzkości ogromnych cierpień<sup>2</sup>. Ich interwencje w historię były bowiem najczęściej oparte na fantastycznych

---

<sup>1</sup> Cyt. za: Niall Ferguson, *Imperium: jak Wielka Brytania zbudowała nowoczesny świat*, przekł. B. Wilga, Sprawy Polityczne, Warszawa 2007, s. 235. Z przemówienia w 1896 r. w Izbie Handlowej w Birmingham.

<sup>2</sup> *Obama is Like a Chess Player, Spiegel Interview with Henry Kissinger*, „Spiegel Online International”, 07.06.2009, [www.spiegel.de/international/world/0,1518,634400,00.html](http://www.spiegel.de/international/world/0,1518,634400,00.html), polskie tłumaczenie: *Spyt określa świadomość*, rozmowa Gabora Steingarta i Jana Fleischauera z Henry Kissingerem dla *Der Spiegel*, „Forum”, 13.07.2009, s. 7.

przesłankach i jaskrawo rozmijało się z realiami i rzeczywistymi potrzebami. A najczęściej mieliśmy do czynienia w krajach Zachodu z pomieszaniem zabiegów o interesy z instrumentalnie traktowanymi wzniosłymi deklaracjami i uzasadnieniami. Niepomierne rzadsze były przypadki trzeźwej troski o własne interesy z pewnymi moralnymi zasadami. Kissinger zresztą słusznie dodaje, że różne społeczeństwa przyjmują odmienne zasady i wartości moralne. Rozważania te podsumowuje następująco:

„Według mnie również w polityce zagranicznej istnieją uwarunkowania obiektywne. Kto chce decydować o losie narodów, nie biorąc tych uwarunkowań pod uwagę, ten ucieka od rzeczywistości. Sztuka dobrej polityki zagranicznej opiera się na znajomości wartości, jakie wyznaje dane społeczeństwo, oraz na próbach ich poszanowania - na ile się da”<sup>3</sup>.

Są to jednak wskazówki dla „mistrzów”, a większość polityków zachodnich dba po prostu o rozmaite korzyści dla siebie i swoich ugrupowań, dodając do tego niezbędne *decorum* niewiele znaczących w praktyce, pompacyjnych deklaracji dla krajowej publiczności oraz sojuszników.

Trzeźwe, a jak powiedzieliby Polacy – cyniczne kalkulacje zysków i strat, dbanie o każdy grosz – są trwałym rysem kultury wysoko rozwiniętych i bogatych krajów Europy Zachodniej obcym krajom ubogim, gdzie często dominuje zasada „zastaw się, a postaw się”. W Polsce zaostrzają to jeszcze tradycje szlacheckiej dumy i honoru, może nawet „honorności”, bo często bywa to doprowadzane do absurdu.

Przykład: przyjeżdżał do mnie kilkakroć jeszcze w czasach PRL-u starszy Anglik poznany kiedyś w Azji. Gościłem go w swoim M3 w bardzo skromnych warunkach uniwersyteckiego asystenta, do udziału w kosztach utrzymania on się nie kwapił (przy ówczesnych czarnorynkowych, niebotycznych kursach funta byłoby to zabawką!). Żeby nie płacić za bilet autobusowy chodził piechotą nawet po kilka kilometrów. Sam na mieście jadał w barach mlecznych, bo pytał, gdzie będzie najtaniej. Przywiózł mi w prezencie przypraw azjatyckich może za 3-4 funty. Miałem go za ubogiego emeryta. Trochę mnie dziwiło, że korespondencję prosi kierować na bank. Dopiero z czasem zorientowałem się, że ubiera się bez ostentacji, ale rzeczy świetnej jakości, a jeszcze później dowiedziałem się, że był to milioner i to z dziada pradziada. Inny przykład: w dostatniej Bawarii gościa przyjmuje się tradycyjnie filiżanką kawy, lub herbaty; jeśli podaje się ciasto – to już „duże przyjęcie”. A lampka wina, czy likieru - to „rozpusta”. Dosłownie kieliszek! Bo butelki nigdy się nie wnosi. Jak mi tłumaczono, w ten sposób można nalać, nawet gdy w butelce jest tylko trochę na dzień, a ponadto gość nie może wtedy zażyczyć sobie dolewki! I tak na każdym kroku. Paniusia, z którą sami w przedziale jedziemy dwie godziny i gawędzimy sympatycznie, wyciągnie tabliczkę czekolady za 1 euro, ułame sobie kawałek i sama go schrupie. Nawet nie pomyśli, żeby z czystej uprzejmości poczęstować towarzysza. To przecież JEJ czekolada. Natomiast

---

<sup>3</sup> Tamże, s. 7.

Włoch poznany w pociągu, z biednego Południa rzecz jasna, zaprosi cię do domu i będzie gościł nawet jeśli musi pożyczyć od sąsiadów, a na stół postawi wszystko to, co ma, i czego nawet nie ma.

Oszczędzanie na każdym kroku i dbanie o każdy grosz, liczenie wszystkiego, czy się opłaca – to jeden z fundamentów „mieszczańskiej” kultury mentalnej zamożnej Europy w Polaku budzący zdumienie i rozmaite fobie oparte zazwyczaj na nieporozumieniach. Z tym „rachowaniem” i „sknerstwem” łączy się trudny nam do przyjęcia zachodni racjonalizm, podczas gdy u nas liczą się ogromnie emocje, zwłaszcza złe, „fantazja ułańska” i tzw. „imponderabilia” niepojęte dla osób przyzwyczajonych do trzeźwego, kartezjańskiego myślenia. Stąd też analizy i opinie ekspertów w Polsce politycy traktują zwykle „dekoracyjnie”, jako uzasadnienia już podjętych decyzji, podczas gdy na Zachodzie stają się one często istotnymi przesłankami wypracowywania rozwiązań i podejmowania decyzji. Dlatego też nauka i badania są traktowane u nas jako „piąte koło u wozu”, jako dekoracja, symbol nowoczesnego państwa, nie zaś sfera tworzenia nowych wartości i potrzebnych diagnoz.

Zdaje się, że kryją się za tym nawet głębsze różnice kulturowe dotyczące samego pojmowania polityki. Na Zachodzie dominuje jej traktowanie jako zabiegi o interesy państwa i najbardziej wpływowych grup (oczywiście z nieustannymi kłótniami między nimi). Stanowiska są ważne przede wszystkim jako „pozycje decyzyjne” dające kontrolę jakiejś sfery życia. W Polsce natomiast, pozbawionej własnego państwa ponad sto lat, polityka jest traktowana „poetycko” jako sfera retorycznych deklaracji, patetycznych gestów i „obrony pryncypiów” przy zupełnym lekceważeniu konkretnych interesów oraz skutków, realiów i praktycznych możliwości uzyskania czegoś. Stanowiska są traktowane z jednej strony symbolicznie, prestiżowo, jako wyraz aktualnego znaczenia grup zdobywających je, z drugiej zaś umożliwiają budowanie całych struktur klientelistycznych w podległej danemu decydentowi dziedzinie. Nie tylko jemu, ale i jego podwładnym nie chodzi o to, by coś zrobić, by rozwiązać jakieś problemy (nawet w sposób korzystny dla własnej grupy), lecz o profity z samego stanowiska i dóbr będących w jego zasięgu. Nic tedy dziwnego, że kompetencje odgrywają niewielką rolę, stolarz może być mianowany dyrektorem szpitala psychiatrycznego, a prowincjonalny radca prawny pięciorzędnej firmy z dnia na dzień prezesem jednego z największych przedsiębiorstw kraju. Z niekompetencją i porażającą biurokracją spotykamy się na każdym kroku, gdyż liczy się wierność politycznym patronom i gorliwość w wypełnianiu ich życzeń, dbanie o powiązania osobiste i klikowe, nie zaś merytoryczne rezultaty. Z tym wiąże się łapownictwo i nepotyzm. Pod tym względem Polska przypomina wciąż wiele krajów Trzeciego Świata, i to tych, które nie weszły jeszcze na drogę przyspieszonego rozwoju. Polacy traktują wprawdzie Europę jako pewien ideał, ale raczej MÓWIĄ o próbach zbliżenia do niego niż starają się to robić, a niekiedy odnosi się wręcz wrażenie, że nie usiłują nawet zrozumieć, jakie to mechanizmy zapewniły Zachodowi rozwój.

Z utopijną wizją Europy – przedstawioną powyżej – konkuruje więc druga, negatywna, nie naiwnej wiary i nadziei, lecz strachów. Jej zwolennicy widzą we wpływach Europy na Polskę głównie same zagrożenia dla naszego narodu: od cynicznego wyzyskiwania nas po podważanie suwerenności państwa i propagowanie obcych, fałszywych wzorów. Zachód rzekomo nam niesie demoralizację, zatracenie „duszy katolickiej” oraz poczucia narodowego, itp. Podobnie jak w przypadku wielu innych krajów zacofanych eksponuje się zwłaszcza rodzime wartości moralne i duchowe, przeciwstawiając je materializmowi Zachodu i jego prymitywnej „mentalności kupczyka”. „Prawdziwych patriotów” przeciwstawia się zarazem wyśmiewanym zwolennikom obcych wzorów małpujących cudzoziemców bezrozumnie, albo nawet z wyrachowania czy służących wręcz świadomie obcym interesom, czyli zdrajcom.

Obydwie te tendencje konkurują wprawdzie ze sobą, ale także współwystępują, a ta sama osoba czy gazeta potrafi prezentować na raz oba podejścia przeskakując od jednego do drugiego, jeszcze z popadaniem nieraz w mesjanizm, co dla przywykłego do racjonalizmu zachodniego Europejczyka tworzy porażającą mieszankę. To ta mieszanka jednak określa w dużym stopniu opisy współczesnego świata w naszych mediach, polskie życie polityczne czy dysputy inteligenckie. Specyficzną cechą jest także we wszystkich tych orientacjach traktowanie Europy (a także USA) jako pewnej zgłajszachtowanej jedności. Nie dostrzega się zaś często, jak bardzo ta Europa i cały świat atlantycki są wewnętrznie zróżnicowane i wielorako podzielone, jaki dystans dzieli Europę Zachodnią od Stanów Zjednoczonych, nawet kulturowy i mentalny. To zaczęli odkrywać dopiero z ogromnym zdziwieniem nasi nowi emigranci podejmujący pracę w krajach Europy Zachodniej.

Trzeba jeszcze dodać, że „jednolity Zachód”, wyidealizowany lub traktowany jako zagrożenie, ujmowany jest zwykle ahistorycznie, a obecny jego obraz rzutuje się także na przeszłość: *w czasach nowożytnych taki po prostu był i jest Zachód*. Informacji, że to Stany Zjednoczone były głównym sponsorem Czerwonych Khmerów z Kambodży po obaleniu ich reżimu przez wietnamski korpus interwencyjny (zgodnie z logiką zimnej wojny, iż wróg naszego wroga musi być cennym partnerem), że patronowały najbrutalniejszym dyktaturom w Ameryce Łacińskiej, podobnie jak faktów brutalnego łamania praw człowieka przez wiele państw Zachodu przynajmniej aż do lat 50. XX w., w tym krwawych rozpraw z ruchami narodowymi w zniewolonych koloniach – polscy miłośnicy Zachodu po prostu nie przyjmują do wiadomości.

Nie chcą przede wszystkim wiedzieć, czym był kolonializm dla zniewolonych narodów, ani uwierzyć, że np. bojownicy algierskiego FLN walczący przeciwko panowaniu Francji w latach '50 XX w. działali podobnie jak nasi patrioci z powstania styczniowego. Dla narodów żyjących w koloniach Francja czy W. Brytania nie różniły się zasadniczo od Rosji Carskiej dla nas (bo ZSRR jednak uznawał formalną niepodległość krajów satelickich, akceptował

autonomię administracyjną i kultywowanie kultur narodowych, o czym w koloniach można było co najwyżej pomarzyć). W istocie nawet nasze zabory były o wiele lepsze niż niewola dla ludów kolonialnych. Polacy mogli przecież zajmować stanowiska państwowe, również wysokie, arystokracja nasza prowadziła normalne życie towarzyskie „ze swoją sferą” zaborcy, była zapraszana na przyjęcia na dworach panujących, studenci studiowali na uniwersytetach, biznesmeni robili interesy w całym imperium. Niczego podobnego nie mogło być w koloniach, gdzie administrację sprawowali wyłącznie wysłannicy z metropolii, a miejscowi pełnić mogli tylko funkcje najniższe, gdyż byli traktowani jako „podludzie”. Stosunki towarzyskie z kolonizatorami mogli utrzymywać tylko tradycyjni władcy i to też specyficzne i nie bez przypominania im o niższej pozycji „tubylców”. Rzadko dopuszczano też do kształcenia miejscowych na poziomie wyższym. Skala pogardy i separowania się kolonizatorów były przy tym rozmaite, najostrzej manifestowali takie postawy Brytyjczycy i Holendrzy, najślabiej Portugalczycy, którzy dokonywali swych podbojów wtedy, kiedy ich ojczyzny nie dzieliła przepaść cywilizacyjna od „tubylców”. Ten okres zinstytucjonalizowanej pogardy dla „kolorowych” pozostawił do dziś głębokie urazy psychiczne i kompleksy. Trzeba pamiętać, że każdy z kolonizatorów stosował przy tym własne metody i zazdrośnie strzegł swoich posiadłości przed konkurentami, nie dopuszczano nawet „obcych białych” na obszar swoich kolonii.

Mocarstwa kolonialne prowadziły, rzecz jasna, i prowadzą politykę mocarstwową, więc nie należy się zbyt dziwić, iż prezydent Sarkozy dobrze rozumie dążenia premiera Putina obrony rosyjskiej strefy wpływów, bo przecież Francja też wciąż działa podobnie. Solidarność państw zachodnich z Polską, czy pomoc innym ciemiężonym narodom (ale tylko w Europie, albo ciemiężonym przez europejskiego konkurenta!) – były zazwyczaj tylko grą mocarstwowych interesów strojonych jedynie w piórka „obrońców wolności”, choć autentycznych obrońców w społeczeństwach oczywiście nie brakowało, a czasem wymuszała coś na politykach ich opinia publiczna. Idealizowanie mocarstw europejskich przez polskie elity jest po prostu rezultatem słabej znajomości ich polityki i historii czasów najnowszych.

Europa, jak wspominaliśmy już, była i jest wielorako podzielona kulturowo. Jan Paweł II mówił wręcz o „dwu płucach” Europy: wschodnim i zachodnim, uznając fundamentalną odmienną tradycji bizantyjskich i łacińskich, o czym w jego ojczyźnie aż nazbyt często się zapomina. Jednak nawet w części zachodniej mamy podział na kraje katolickie i protestanckie o wyraźnej odmiennej mentalności oraz obyczajach. Mamy też tradycyjny podział na Europę południową – wina i oliwy, dojrzewających serów oraz suszonych wędlin, i Europę północną piwa, whisky, wódki i innych mocnych trunków, a także smalca i masła, kwaśnego mleka, kiszonych warzyw, wędlin wędzonych, itp. Współcześnie obyczaje kulinarne oczywiście stopniowo się upodabniają i w całej Europie pija się dziś wino i wódkę, ale przecież w różnych proporcjach i

sytuacjach. Przypomnieć warto, że w Europie północnej życie toczy się WEWNĄTRZ budynków, a w południowej – na miejskim rynečku i na ulicach. Wieczorami rynečki miasteczek w południowych Włoszech i uliczki centralne wypełnia zbity tłum, bo wszyscy wychodzą na ulice, żeby się spotkać, pogawędzić, a w miasteczkach Włoch północnych wieczorem ulice i rynečki są opustoszałe. Granica kulturowa może więc przecinać nawet poszczególne kraje dzieląc je na wyraźnie odrębne regiony. Na Północy chodzi się spać niedługo po kurach, a na Południu dopiero późnym wieczorem życie na dobre się zaczyna. Dlatego w Neapolu o dwudziestej drugiej wieczorem restauracje dopiero się wypełniają, a w Mediolanie wszystkie się właśnie zamyka. Mamy jeszcze Europę morską – rybacką i żeglarską, dawniej zagrożoną przez napady piratów, i Europę lądową – pól oraz lasów, i jeszcze Europę górską, dziś już dosyć wyludnioną z zupełnie innymi stylami życia i zagrożeniami. Mamy „Europę miejską”, folkloru miejskiego i burżuazji, właściwie bez wsi – w naszym wschodnioeuropejskim sensie, i Europę wiejską, gdzie mentalność i kulturę tak ludu, jak i klasy rządzącej określają warunki wiejskiego bytowania. A teraz jeszcze mamy również Europę kosmopolitycznych metropolii, gdzie wręcz trudno na ulicy znaleźć „rodzimego mieszkańca”, bo większość ludności to „przybysze”.

Nawet wyobrażenia religijne z tego samego kręgu chrześcijaństwa, będą przedstawiały się zupełnie inaczej. We wschodnich krajach prawosławia Chrystus malowany jest jako pantokrator, car siedzący dumnie na tronie, podczas gdy w zachodniej popularne są wyobrażenia cierpiącego na krzyżu, a w Polsce mamy jeszcze boleściwego, siedzącego, ale pogrążonego w żalu. Matka Boska malowana na prawosławnej ikonie jest dostojna, daleka, wyniosła i uduchowiona, zaś mistrzowie włoscy lubili ją malować jako piękną dziewczynę, czy kobietę – od której trudno nieraz młodemu mężczyźnie wzrok oderwać, sensualną, z krwi i kości, uśmiechniętą, często z bawiącymi się dziećmi. Ostatnia Wieczerza mistrza włoskiego to na pierwszym planie stół uginający się od jadła wszelakiego, a za nim zrelaksowani przy winie, gawędzący apostołowie. Hiszpanie malowali natomiast prosty, drewniany stół, na nim tylko chleb i wino, a apostołowie są mroczni, uroczyści, bo to przecież Pierwsza Ofiara! Kiedy oni będą malować Madonnę, to prawie na pewno będzie ona dostojna, poważna, bez cienia uśmiechu i żadnych rozbawionych berbeci! A mistrz flamandzki nawet przy uroczystej jakiejś scenie na pierwszym planie, za oknem namaluje mężczyznę siusiąjącego pod drzewem czy kogoś właśnie przykucniętego z filuternym uśmieszkiem, czego Włoch nigdy by nie zrobił, a hiszpański malarz spaliłby się ze wstydu na samą myśl!

W Niemczech, czy Szwajcarii najmniejsze spóźnienie jest wielkim nietaktem, w południowych Włoszech byłoby nim właśnie przyście punktualne. Nie zapomnę pierwszej kolacji w Neapolu. Zaproszony na 9 wieczór, przyszedłem z kwadransem opóźnienia. Dom pusty, służąca Filipinka jeździ z odkurzaczem. Pani przerażona wybiega z łazienki w papilotach, by

mnie usadzić z jakimś winem. Goście zaczęli się schodzić dopiero koło dziesiątej – pół do jedenastej. Raz nawet znajomy przyszedł tam do mnie z tygodniowym opóźnieniem! Nawet pociągi, czy statki traktują rozkład jazdy „elastycznie”. Pociąg zawsze może odjechać przed czasem, o czasie i z jakimś opóźnieniem, i tak samo będzie z przyjazdem, oczywiście też peron odjazdu i przyjazdu może być inny niż w rozkładzie. Jeśli w Niemczech, czy W. Brytanii zapraszają cię do restauracji na obiad – płacisz oczywiście za siebie; jeśli we Włoszech, zwłaszcza na południu – byłoby nietaktem nawet sięganie po swoje pieniądze. W Niemczech odwoływanie do jakichś znajomości przy załatwianiu sprawy urzędowej wywołałoby skandal, we Włoszech, zwłaszcza południowych – to konieczność, bo bez znajomych nic się nie załatwi. Scenka: w południowych Włoszech chcę przedłużyć o tydzień wizę goszczącemu u mnie znajomemu z Polski, oficer policji z biura dla cudzoziemców mówi, że sprawa jest nie do załatwienia oficjalnie. „Chyba, że Pan Profesor ma kogoś znajomego w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, inaczej zgoda przysłaby za pół roku! Niech on po prostu zostanie i sobie zwiedza, a gdyby strażnik na lotnisku nawet zapytał przy wyjeździe o samowolne przedłużenie pobytu, to przecież zawsze można powiedzieć, że się chorowało!” Czy ktoś może sobie wyobrazić podobną rozmowę w Niemczech, czy Szwecji? Inna przypadek: w Monachium, w niedzielę piszę na maszynie elektrycznej (były takie przed erą komputerów). Pukanie do drzwi. Sąsiad. „Panie profesoro, chyba ktoś u Pana pisze na maszynie! A parcież jest niedziela!” Jak dosłyszał to ciche klikanie maszyny przez solidne, ceglane mury – to jego tajemnica. Ale natychmiast zwrócił uwagę! Nikt by z tym nie przyszedł w Berlinie, a tym bardziej w Rzymie, czy Paryżu. Wszyscy słyszeli o francuskiej kuchni, ale podobnie jest we Włoszech. Sztuka kulinarna i delektowanie się potrawami mają bardzo wysoką pozycję i w tamtejszej kulturze są traktowane z najwyższą powagą. W. Brytania wyznacza przeciwny biegun – lekceważenia tych spraw i dość podłego jedzenia na znanej nam zasadzie: „wełna nie wełna, byle kieszka pełna”. Polacy i inne narody słowiańskie są niewątpliwie bliższe Brytyjczykom, niż Francuzom (poza elitami, rzecz jasna). Za takimi różnicami życia codziennego, czy wyobrażeń religijnych kryją się, oczywiście, inne relacje społeczne, odmienne wizje świata i normy życia.

Nasza mała Europa bardzo jest zatem zróżnicowana, chociaż zarazem wyjątkowo też spojona, przynajmniej regionalnie. Od starożytności kupcy podróżowali tysiące kilometrów morzem i lądem. Od średniowiecza pielgrzymowało się przez różne kraje do świętych miejsc, o których pątnik musiał przecież wcześniej wiedzieć! Studenci wędrowali z uniwersytetu na uniwersytet, przenosili się i wykładowcy z kraju do kraju używając wszędzie łaciny, a zamożniejsi podróżowali „dla poznania świata”. Rozpowszechniały się książki i idee. Rodziny panujących i arystokracji zawierały związki małżeńskie nie licząc się ze zmieniającymi się granicami. Szerzyły się nowe tendencje w kulturze i mody. Toczono wojny, jak napoleońskie, od Neapolu, po Madryt,



Drezno i Moskwę. Wędrowali tysiącami kilometrów jacyś emigranci. Krążyły wszelkie dobra, a nawet geny.

Nie przypadkowo więc właśnie tu uformował się po raz pierwszy w świecie bezprecedensowy organizm: Unia Europejska, wspólnota narodów do pewnego stopnia ponadnarodowa. I uformował się krąg bliskich sojuszników Europy, zwany „Zachodem”: państw utworzonych przez fale emigrantów z niej na innych kontynentach, jak Stany Zjednoczone i Kanada – połączone z nią we wspólnotę atlantycką, a także znacznie odleglejsze Australia i Nowa Zelandia. Na Bliskim Wschodzie dolicza się do „państw zachodnich” także Izrael. Na innym końcu świata do Zachodu zalicza się Argentyna. Bardziej skomplikowana jest sytuacja innych krajów Ameryki Łacińskiej – związanych z Półwyspem Iberyjskim, w Europie tradycyjnie nieco „osobnym”, krajów chrześcijańskich wprawdzie i przez lata rządzonym przez białych Kreoli, ale ze znacznym udziałem ludów indiańskich i potomków sprowadzonych niegdyś z Afryki czarnych niewolników, jak też metysów, mulatów i wszelkie inne owoce międzyrasowych związków, tolerowanych zarówno przez Hiszpanów, jak i Portugalczyków w dużo większym stopniu niż przez Brytyjczyków. Podobnie „mieszane” są ich kultury. Wprawdzie dominowały elementy wywodzące się z Europy, ale do nich dołączyły wpływy amerykańskie (niełubianych i imponujących zarazem Yankesów) i odżywiający coraz wyraźniej tradycje indiańskie i murzyńskie w coraz nowych połączeniach i w zmieniających się, wielowarstwowych tożsamościach kulturowych.

Ten „Zachód” wiąże się jednak tylko z Europą Zachodnią i poza swoimi granicami zostawia wschodnią połowę naszego kontynentu. Philippe Nemo, znany badacz francuski, wylicza pięć składników tradycji określającej przynależność do „Zachodu”:

1. Wynalazek miasta-państwa, obywatela oraz wolności pod rządami prawa, a także nauki i szkoły – wywodzące się z Grecji.
2. Wynalazek prawodawstwa, własności prywatnej, osoby ludzkiej oraz humanizmu – dokonany przez Rzymian.
3. Biblijna rewolucja etyczna i eschatologiczna, z miłosierdziem wykraczającym poza sprawiedliwość oraz eschatologiczny porządek czasu pojmowanego linearnie.
4. Rewolucja „papieska” XI-XIII w. – przy pomocy dwu postaci rozumu ludzkiego, nauki greckiej i prawa rzymskiego, wpisała biblijną etykę i eschatologię w porządek dziejów dokonując syntezy „Aten”, „Rzymu” i „Jerozolimy”.
5. Rozwój liberalnej demokracji ukształtowanej w wyniku wielkich rewolucji demokratycznych i pluralistyczny porządek w sferze nauki,

polityki oraz gospodarki, jaki umożliwił Zachodowi bezprzykładny rozwój i zrodził Nowoczesność<sup>4</sup>.

W wyliczeniu tym, chyba niesłusznie, zostało pominiętych kilka kluczowych punktów. Przede wszystkim trzeba by dodać Renesans i Reformację, z ich apoteozą indywidualizmu, a także rewolucję intelektualną Oświecenia, z jej kultem Rozumu, racjonalności, nauki oraz edukacji, oddzielenia państwa od Kościoła i z ideą równości obywateli wyrosłą z unikatowej zupełnie, nigdzie indziej nie znanej, nowej kultury mieszczańskiej. To w niej zrodził się nowy zupełnie podział na sferę publiczną i prywatną, z zazdrosnym strzeżeniem tej ostatniej. Brak tych tradycji różni zasadniczo cywilizację zachodnią od prawosławnej ze wschodu Europy (choć caryca Katarzyna II gościła na swym dworze modnych, zachodnich myślicieli), podobnie jak od arabskiej czy chińskiej. Włączenie elementów Oświecenia przez Nemo do „rewolucji demokratycznych” jako ich szczególnego aspektu, chyba nadmiernie pomniejsza jej znaczenie.

W tym wyliczeniu brakuje też chyba istotnego wątku: poczucia własnej wyższości i misji zbawiania innych narodów czy też narzucania im własnych porządków i prawd, zrodzonego chyba jeszcze w epoce rzymskiej, lecz rozwiniętego na gruncie tradycji chrześcijańskich. Jak podkreśla Janusz Tazbir, w XVI i XVII w. chętnie i często pisano w Europie o przewagach naszego kontynentu nad innymi, przede wszystkim eksponując niesienie im wiary chrześcijańskiej. Dopiero od w. XVIII podkreślano niesienie im „pochodni nauki” i cywilizacji<sup>5</sup>. Dlatego Edward Said określał Zachód jako „imperialistyczny”, nie tylko w sensie podbojów, ale i dążeń do dominacji ideologiczno-kulturowej<sup>6</sup>. Oczywiście przybierało to rozmaite formy, a poszczególne kraje z różną intensywnością podejmowały tę misję, jednak wydaje się to istotnym elementem tradycji Zachodu, a w tradycji bizantyjskiej występuje niepomrotnie słabiej. W rezultacie zakres panowania i wpływów w świecie cywilizacji zachodniej jest rzeczywiście bezprecedensowy, choć w ostatnich dekadach XX w. jej przewaga zaczęła się wyraźnie zmniejszać, a jej dominacja budzi coraz śmielsze protesty.

Wielki historyk brytyjski Arnold Toynbee dodaje do wyżej wymienionych cech Europy jeszcze dwie, dotyczące tylko epoki nowożytnej, różniące cywilizację zachodnią od wszystkich innych. Pierwszą z nich jest zakres panowania nad pozaludzką naturą przez rozwój nauki i techniki, a drugą – nasilające się tempo zmian społecznych związanych z postępem

---

<sup>4</sup> Philippe Nemo, *Co to jest Zachód?* Przekł. P. Kamiński, Wyd. UW, Warszawa 2006, s. 11. Jest to synteza dwóch fundamentalnych dzieł tego autora: *Histoire des idées politiques dans l'Antiquité et au Moyen Age*, PUF, Paris 1998, oraz *Histoire des idées politiques aux Temps modernes et contemporains*, PUF, Paris 2002.

<sup>5</sup> Janusz Tazbir, *W pogoni za Europą*, Wyd. Sic! Warszawa 1998, s. 16-18.

<sup>6</sup> Patrz Edward W. Said, *Orientalizm*, przekł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Wyd. Zysk, Poznań 2005. Omówienie jego koncepcji: Jacinta O'Hagan, *Conceptualizing the West in International Relations: from Spengler to Said*, Palgrave, New York 2002, s. 185-8. Można wspomnieć, że Ferguson sprawie „misji” imperium brytyjskiego poświęcił cały rozdział (III) w swej pracy, jako kluczowemu elementowi jego budowy.

technologicznym<sup>7</sup>. Warto zwrócić uwagę, że cywilizacje, które przyswoiły sobie naukę i technologie zachodnie, co wymagało także wprowadzenia nowego systemu edukacji, zaczynają podlegać podobnemu przyspieszeniu przemian gospodarczo-społecznych i to w skali nawet jeszcze większej niż na Zachodzie. Za życia jednego pokolenia Azjatów z szybko modernizujących się krajów zaszyły przeobrażenia większe niż w Europie zachodniej przez sto lat.

Do tej listy Toynbee'ego dodać chyba należy jeszcze trzeci element: bezprzykładne mieszanie się w Europie różnych tradycji i kultur: wewnątrz-europejskich i poza-europejskich, a nawet świadome zapożyczanie elementów obcych. Bez zapożyczenia od ludów stepowych chomąta i strzemion nie byłoby rozwoju średniowiecznego handlu i zbrojnego rycerstwa, które także korzystało z innego wynalazku chińskiego znakomitych wyrobów stalowych poznanych przez Arabów. Bez przejścia kompasu od Chińczyków, także za pośrednictwem Arabów, nie byłoby epoki wielkich odkryć geograficznych i ekspansji globalnej, ale umożliwiło ją także przejście od nich prochu i armat. Z kolei rewolucja przemysłowa nie byłaby możliwa bez przejścia z Azji Wschodniej tradycyjnych metod i prostych narzędzi rolniczych uznanych w XIX wiecznej Europie za „nowoczesne”, które uwolniły tysiące rąk do pracy pozarolniczej<sup>8</sup>. Nie mniej chyba ważne było wcześniej przejście papieru i druku, stopni naukowych, instytucji i technicznych metod egzaminów, służby cywilnej i biurokracji<sup>9</sup>. To na ich gruncie doszło do prawdziwej rewolucji edukacyjnej i formowania nowoczesnych państw.

Przykłady te pokazują także, iż w Europie elementy obce bardzo szybko i sprawnie doskonalono. Odlewania znacznie ulepszonych dział zapożyczonych z Chin w końcu średniowiecza jezuici uczyli Chińczyków już w wieku XVII, a Rosjanie w XIX w uczyli wojskowych chylącego się ku upadkowi cesarstwa posługiwania się na wojnie wymyślonymi przecież w Chinach rakietami<sup>10</sup>. Wystarczy pooglądać zabytki architektury włoskiej, by dostrzec, ile przejęła ona z architektury arabskiej, bizantyjskiej, a nawet normańskiej. Zapożyczeń orientalnych w sztuce europejskiej z różnych okresów wręcz wymienić nie sposób. Od tysiącleci mieszały się tu z miejscowymi kolejne fale najeźdźców, Hunów, Słowian, którzy spustoszyli bizantyjską Grecję, zapuszczali się aż do Hiszpanii, czy Madziarów zdobywających w krótkotrwałe władanie nawet kawałki dzisiejszych Włoch. W rezultacie Europa był prawdziwym tygłem

---

<sup>7</sup> Arnold J. Toynbee, *Studium historii*, skrót D.C. Somervella, przekł. J. Marzęcki, PIW, Warszawa 2000, s. 743. Praca ta sumuje jego wielotomowe dzieło *A Study of History*, Oxford University Press, Oxford 1946-1957, t. I-X.

<sup>8</sup> Procesy zapożyczania wielu wynalazków chińskich przez Europę ukazuje monumentalna dzieło Josepha Needhama, *Science and Civilisation in China*, Cambridge University Press, Cambridge 1954- Ukazało się dotychczas ponad 30 woluminów i ma się ukazać jeszcze kilka. Jedyny egzemplarz tego dzieła w Polsce znajduje się w Bibliotece SWPS w Warszawie. Patrz jego skrót wydany w Polsce: Robert Temple, *Geniusz Chin*, Ars Polona, Warszawa 1996.

<sup>9</sup> Procesy zapożyczeń w tej sferze omawia: Herrlee G. Creel, *The Origins of Statecraft in China*, t. I, *The Western Chou Empire*, The University of Chicago Press, Chicago – London 1970, s. 1-28.

<sup>10</sup> Opisuje to szczegółowo A.N. Chochłow, *Wojennaja pomoszcz Rossiji Kitaju w konce 50-tych naczale 60-tych godow XIX wieka*, [w:] *Strany Dalniego Wostoka i Jugo-Wostocznoj Azjii*, Izd. Nauka, Moskwa 1967, s. 121-130.

kultur i ludów (*melting pot*), a jej cywilizacja jest wyjątkowo heterogeniczna i otwarta, co prawdopodobnie przyczyniło się do jej dynamiki.

Mamy zatem paradoks: Zachód rozciąga się na inne kontynenty, ale nie obejmuje całej Europy. Trzeba jednak pamiętać, że różnie ją pojmuje się, nawet współcześnie. Oprócz granic Europy wyznaczonych przez geografów (po Ural i Kaukaz), których uczymy się w szkołach, funkcjonują też inne: w opinii różnych kręgów społecznych. Polacy w ostatnich dziesięcioleciach nieraz granicę między Europą a „Wschodem” wyznaczali na Bugu zgodnie z tradycją Polski – „przedmurza Europy”. Wizja gen. De Gaulle’a (1890-1970) jako prezydenta Francji – Europy od Madrytu po Ural (a dokładniej po Władywostok) nie budziła u nas entuzjazmu. Podobnie hierarchia kościelna i elity polityczno-intelektualne zignorowały zupełnie tezę Jana Pawła II o Europie oddychającej dwoma płucami: łacińskim i bizantyjskim, co implikowało uznanie i poszanowanie ich odmienności kulturowej, a także wspólną przynależność do Europy tych różnych tradycji.

Niemcy w powojennych dziesięcioleciach granice między „Europą” a „Wschodem” chcieli często umieszczać na dawnych wschodnich granicach Cesarstwa Niemieckiego. Demokraci tamtejsi, krytykujący tradycję pruską i z jej ekspansjonizmem i latyfundiami, do „Wschodu” zaliczali nawet dawne Prusy, z zupełnie inną mentalnością od mieszczańsko-miejskich kultur krajów nadreńskich. Włosi mieli nawet kilka „granic Europy”. Mieszkańcy doliny Padu tylko swoje ojczyzny przedalpejskie zaliczali do „prawdziwej Europy”. Toskańczycy nieraz uznawali Florencję za ostatnie, „pograniczne miasto Europy”, Rzym zaliczając już do „świata Lewantu”. Mieszkańcy Rzymu, oczywiście, nie zgadzali się z takimi opiniami i granice Europy wyznaczali w okolicach Formii, w połowie drogi do Neapolu, zgadzając się, że dalej to już świat lewentyński. Z tym paradoksalnie zgadzało się nawet wielu Południowców, już to broniąc swojej odrębności, już to jako wyrzut wobec rządów w Rzymie, które „połowę kraju utrzymują w Trzecim Świecie”. Sycylijscy rzadko podkreślali swoją przynależność do Europy mieszkając „z kraja”. Oddzielnie od Europy, z której aż do czasów wstąpienia do UE „nic dobrego nie przychodziło”, żyli też mieszkańcy krain Półwyspu Iberyjskiego. Jeszcze bardziej „oddzielni” czuli się tradycyjnie Anglicy, dla których Europa to nie tylko „zagranica”, ale wręcz „kraj zamorski” (*overseas*) i nie robiono już wielkiej różnicy między Niderlandami, Francją, czy Rosją. Europa – to byli dla Brytyjczyków tylko „sąsiedzi”.

Najbardziej „Europejczykami” czuli się chyba w powojennych dekadach mieszkańcy starych ziem Karola Wielkiego (768-814), od Niderlandów na północy po Rzym na południu i od Pirenejów na zachodzie po Łabę i górny Dunaj na wschodzie. Nic dziwnego, że tam zrodziła się idea Unii Europejskiej i wciąż odżywiają pomysły „europejskiego jądra”, a rozszerzanie Unii na wschód, zwłaszcza po Ukrainę i Turcję, budzi tam atawistyczne wręcz fobie.

Dlatego dokonane już rozszerzenie Unii na wschód wymaga nie tylko integracji gospodarek i systemów prawnych, co w znacznym stopniu już nastąpiło, ale także adaptacji mentalnej, i to dwukierunkowej. Nauczania się Europy przez nas i nauczania się zachodnich Europejczyków „spraw wschodnich”, do dziś znanych w gruncie rzeczy jedynie Niemcom. Poczynając nawet od geografii: przecież Włochowi, czy Hiszpanowi nic nie mówią takie nazwy jak Brześć, Mazury, Wrocław, Dniepr, Lwów. To „gdzieś na Wschodzie” czyli „nigdzie”, a w demokracji liczą się nie tylko ministrowie, ale i zwykli ludzie! A nawet ministrowie, i to też po obu stronach, czasem żyją w świecie wyobrażeń zupełnie fantastycznych!

Warszawa, lipiec 2009 r.